

Strona znajduje się w archiwum.



NAJSŁYNNIEJSZA POLSKA FUNKCJONARIUSZKA

Data publikacji 24.07.2013

Była pierwszą milicjantką w powojennej Warszawie. Kierowała ruchem przy największych arteriach stolicy: pl. Trzech Krzyży, pl. Teatralnym, przy skrzyżowaniu ulicy Bednarskiej, przy Krakowskim Przedmieściu, ulicy Żelaznej, a także przy pl. Bankowym. Co by tu nie mówić, Pani Leokadia Krajewska, dzięki pogodzie ducha i nieodpartemu urokowi, podbiła serca nie tylko jako milicjantka, ale również jako kobieta.



- To były ciężkie czasy- **wspomina Pani Leokadia** - byłam sama w Warszawie. Mama moja znajdowała się w obozie koncentracyjnym, a siostra została wywieziona na roboty do Niemiec. Jeszcze podczas wojny pracowałam u szewca na ulicy Chmielnej. Jak przyszło wyzwolenie Warszawy trafiłam do Czerwonego Krzyża na Pradze. Miałam siedemnaście lat, kiedy mój sąsiad, który wstąpił do milicji, powiedział „Jesteś wysoka, robią nabór kobiet do milicji, idź, a zobaczysz, przyjmą Cię”. Poszłam i przyjęli. Wieku wtedy nikt nie sprawdzał. Czasy powojenne były dla wszystkich trudne. Mężczyźni dopiero wracali do domów z wojny, obozów. Jednak ja nie zamierzałam się poddawać. Szybko polubiłam mundur. Na początku byłam skoszarowana. Na obiady, jako główny posiłek, dawano nam kaszę i śledzie. To był nasz deputat. Los chciał, że trafiłam do ruchu drogowego. Tam byłam najbardziej potrzebna. Warszawa się odbudowywała. Przeszkolenie kierowania ruchem na drodze przeszłam na Targówku, na Ormiańskiej. Pracowały ze mną inne panie, jednak one „wykruszyły” się z różnych powodów. Do moich głównych zadań należało kierowanie ruchem drogowym przy największych skrzyżowaniach w Warszawie. Dzięki temu, stałam się rozpoznawalna. Nie ukrywam, pomagało mi to w pracy. I tak na przykład, po zakończonej służbie musiałam samodzielnie ze skrzyżowania zabierać na bazę specjalny

ciężki podest, na którym stałam przez cały dzień i kierowałam warszawskim ruchem. Pomagali mi w tym przypadkowi ludzie. Raz nawet wiozłam podium motocyklem.

Pomimo, że wystawiałam mandaty, ludzie mnie lubili. Zawsze robiłam to z uśmiechem. Miałam nawet kilku adoratorów. Jeden chciał zostać lekarzem. Przejeżdżał codziennie przez skrzyżowanie, na którym stałam i kierowałam ruchem. W końcu się odkochał. Następny studiował lotnictwo. Przychodził codziennie. Też się odkochał. Oj, kochało się we mnie wielu mężczyzn - śmieje się Pani Lodzia. Zdarzało się, że przechodnie z sympatii do mnie, wołali „Lodzia”. Były też i smutne sytuacje. Pewnego razu na rondzie Waszyngtona zapatrzył się we mnie kierowca. Potrącił mnie samochodem. Nic takiego mi się nie stało. Innym razem do mnie i do kolegi strzelał jakiś człowiek. Schowaliśmy się wtedy do budki wartowniczej, w której pracował pan, który włączał w Warszawie na tym rondzie światło. Pamiętajmy, to były czasy powojenne, a Warszawa podnosiła się ze zgliszczy. Innym razem na tym samym rondzie śpiewałam sobie piosenkę. Przechodził tamtędy ksiądz. Uśmiechnął się do mnie. To było miłe. Sam Topolski rysował mnie na skrzyżowaniu. To były dla mnie cenne chwile.

Pani Leokadia wspomina, jak w dniu swoich imienin, urodzin specjalnie przychodzili do niej na skrzyżowanie mieszkańcy Warszawy z kwiatami, balonami. Pewnego razu, z okazji imienin zaśpiewała dla niej 100 lat orkiestra z Chmielnej.

- Schowałam się wtedy do pobliskiej kamienicy, było mi niezręcznie - opowiada. Tak okazywano mi sympatię - śmieje się Pani Leokadia. Innym razem, w dniu imienin, schodząc ze skrzyżowania po służbie miałam naręcza kwiatów. Do domu na Pragę z grzeczności zawiózł mnie swoim motorem obcy mężczyzna. Całą sytuację zobaczył ktoś z pracy. Następnego dnia dostałam od swojego dowódcy nieoficjalne upomnienie, żebym się tak nie afiszowała.

Wyraży empatii miałam na każdym kroku - wspomina. Nie ukrywam, cieszyłam się, że ludzie mnie lubią. Zapraszana byłam na różne państwowe uroczystości, bale. Na jednym z nich, tańczyłam w pierwszej parze z Cyrankiewiczem.

Pani Leokadia, to piękna dojrzała kobieta. Będąc młodą osobą musiała przyciągać, niejedno męskie spojrzenie. Czy mąż był o nią zazdrosny?

- Trochę - uważa nasza bohaterka - miałam 22 lata, kiedy wyszłam za mąż za kolegę po fachu. Zawodowo, każdy z nas robił swoje. Ja przez kilka lat pracowałam w ruchu drogowym. Potem trafiłam do wydziału łączności, inspekcji i szkolenia, byłam też sekretarką, maszynistką, kierownikiem hali maszyn. Poznałam również pracę w dochodzeniówce. W tym też czasie przyszły na świat dzieci. Godziłam służbę z byciem mamą i żoną. Miałam to szczęście, że moja mama pomagała mi w obowiązkach domowych. Później znowu wróciłam do ruchu drogowego, ale nie pracowałam już w terenie. W tym czasie, służbę ze mną pełniło kilka koleżanek. W 1968 roku dostałam stopień oficerski. W tamtych czasach nie musiałam kończyć dodatkowych szkół. To był rodzaj wyróżnienia.

Jak wyglądał mundur ówczesnego milicjanta?

Miałam białą służbową marynarkę, czapkę i oczywiście broń. Najpierw dostałam karabin, potem pistolet. Do munduru - wspomina - nosiłam swoją granatową spódnicę i ubierałam własne pończochy, służbowych nie było. Nawet wtedy, gdy był 30 - stopniowy mróz. Kiedyś przejeżdżał i zobaczył mnie zimą na służbie w spódnicy komendant główny. Następnego dnia usłyszałam „Jutro macie być w spodniach”. Tak więc zakładałam te waciaki. Wstyd mi było. Wyglądałam w nich nieładnie. Ale polecenie, to polecenie. Jak chciałam coś załatwić, szłam bezpośrednio do komendanta miasta. Obecnie stanowisko komendanta stołecznego Policji. Zawsze mnie przyjął i wysłuchał. Zapraszana byłam również na przyjęcia z okazji Dnia Matki do Urzędu Rady Ministrów. Do dnia dzisiejszego policjanci z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Stołecznej Policji pamiętają o mnie. To miłe, że nadal jestem w ich pamięci.

Pani Leokadia Krajewska, znana wszystkim policjantom, mieszkańcom stolicy jako Lodzia, obchodzi w tym roku 86 lat. Czuje się schorowana, ale jej pogoda ducha może być inspiracją dla każdej policjantki.

Wysłuchała podkom. Ewa Szymańska-Sitkiewicz, KSP

(KSP/mw)